

05-26.II.2017 \ Warszawa

Nijaki barok w WOK

Jacek Hawryluk# \ Podczas 9. Festiwalu Oper Barokowych, który odbył się w listopadzie w Warszawskiej Operze Kameralnej, przedstawiono dzieła wyłącznie francuskich kompozytorów: *Armidę* Jean-Baptiste Lully'ego oraz spektakl złożony z *Pigmaliona* i fragmentów *Dardanusa* Jean-Philippe'a Rameau. To cenne, bowiem na co dzień próżno ich szukać w repertuarze naszych teatrów operowych. Nawet warszawska scena w ostatnich latach rzadziej po nie sięgała, choć to właśnie na niej pod koniec ubiegłego wieku regularnie rozbrzmiewały, obok Lully'ego i Rameau, dzieła Charpentiera czy Campry. Powrót do niegranego w Polsce repertuaru jest z pewnością zacną inicjatywą, byleby nie jednorazową. Pytanie, jak dziś można przedstawiać na scenie barokowe arcydzieła, wciąż rozpala emocje. Przypomnijmy trzy klasyczne tytuły Lully'ego. *Atys* (dyr. William Christie, reż. Jean-Marie Villégier), wystawiony w roku 1987 (a zrekonstruowany w 2011), był niezwykle inteligentnym spojrzeniem w przeszłość, początkiem wielkiej przygody, która definitywnie zmieniła barokową współczesność. *Mieszczanin szlachcicem* (Vincent Dumestre, Cécile Roussat, Benjamin Lazar) pokazał precyzyjnie i stylowo, na czym polegał dawny związek muzyki i słowa. Wreszcie *Armida* (Christie, Robert Carsen) okazała się doskonałym połączeniem przeszłości z teraźniejszością. Wystawianie baroku to już nie prosty wybór między tradycją a współczesnością, lecz między wartościami definiującymi dawną operę – stylowo zagraną muzyką, choreografią, odpowiednim oświetleniem, nienagannie podanym słowem, wreszcie zwykłą obecnością śpiewaków na scenie, która nie wynika wyłącznie z odgrywania kolejnych numerów. Niestety, obie warszawskie produkcje cierpią na tę samą chorobę – nijakość. Wiele w nich przypadkowości, naprędce skleconych pomysłów, banału. *Armida* (1686) w reżyserii i choreografii Dedy Cristiny Colonna została skrócona z blisko trzech godzin w oryginale o jedną trzecią... Obcujemy z jej namiastką, historyjką ograniczoną do głównego wątku, pomijającą prolog, arie, całe sceny. Z misternie skonstruowanej formy, stanowiącej o istocie francuskiej tragedii muzycznej, pozostaje łatwa do przełknięcia przekąska. Ubranie spektaklu w dawny sznyt ma oczywiście sens, ale od wszystkiego – począwszy od strojów, poprzez ruch, akcje sceniczną i muzyczną narrację, wieje naftaliną. Podobnie z *Pigmalionem*. Sprawdziła się tu stara prawda: lepsze jest wrogiem dobrego. W 2015 roku Natalia Kozłowska przedstawiła w WOK jedną ze swych najlepszych produkcji – *Pigmaliona* z Karolem Kozłowskim w roli tytułowej z fantastycznie ożywionym muzeum w finale. Zamiast przywrócić tamten spektakl, pokazano nowy w reżyserii i choreografii Romany Agnel – dość przewidywalny, pozbawiony wdzięku i humoru, do bólu tradycyjny. Francuski barok ma swą językową specyfikę. Nic z niej tutaj nie zostało. Trudno zrozumieć, o czym śpiewają Aleksander Kunach (*Pygmalion*), Marcelina Beucher (*Armida*), Aleksander Rewiński (*Renaud*) czy nawet Jarosław Bręk (*Hidraot*). Sprowadzony do spektakli dyrygent Benjamin Bayl robił, co mógł. Problem w tym, że ani u solistów, ani w Zespole Instrumentów Dawnych WOK nie czułem determinacji do współpracy i wzniesienia się ponad przeciętność. Piekielnie trudna to, jak się okazuje, muzyka. Było, minęło.